



ARKADY SAULSKI

ELDORADO



fabryka słów®
WYDAWNICTWO



Ludzie byli równie martwi jak konie. Dwóch białych, dwóch Meksykanów i czarny. Dojrzała jeszcze trupa psa – groźnego, bojowego. Pod skórą zwierzęcia rysowały się twarde mięśnie. Leżał na piachu z wywalonym językiem, jego bok był poszarpany i zakrwawiony. Ubrania mężczyzny plamiła świeża krew. Flynn dostrzegła okrągłe wlotowe rany od postrzałów i duże, poszarpane rany tam, gdzie pociski opuszczały ciało. Byli uzbrojeni, ale ogołocoło ich z broni tak, jak ogołocoło ich z dobytku – wody, toreb, jedzenia. Na udach i pod pachami – puste kabury. Ktokolwiek był sprawcą, zrobił to niedawno, przed kilkoma godzinami. Nie widziała jednak śladów kopyt, jakby to duchy zamordowały nieszczęśników.

fragment książki



ARKADY SAULSKI

◀ ELDORADO ▶



ILUSTRACJE
PAWEŁ ZARĘBA

fabryka słów®

WARSZAWA



PROLOG



A potem ojciec zmarł. Pochowałem go tam, gdzie sobie życzył – na farmie, dwadzieścia kroków od domu. Wykopałem rów głęboki na sześć, długi na siedem i szeroki na trzy stopy. Złożyłem w nim ciało taty, pomodliłem się i zakopałem. Teraz już zawsze będzie widzieć swoją farmę i pola, i pustynię daleko, i góry, i skały.

Wtedy spakowałem swoje rzeczy i odjechałem. Już nigdy nie usłyszę żadnej opowieści taty, a kochałem snute przez niego historie o dawnych, dawnych czasach i starałem się nigdy nie stracić okazji do tego, aby poznać kolejną.

Kiedyś, podobno, czasy były inne. Człowiek, wyjeżdżając na pustynię, poszukiwał wody, a rewolwer służył mu tylko do bronięcia się przed wężami.

Teraz jest inaczej. Kilka lat temu posłałem młodego chłopaka przed pluton egzekucyjny. Zamordował piętnastoletnią dziewczynkę. Ja go schwytałem, ja obciążyłem zeznaniami. Sąd stwierdził, że była to zbrodnia w afekcie. Lecz gdy potem, już w celi, rozmawiałem z tym chłopakiem, on stwierdził, że żadnego afektu nie było. Planował kogoś zamordować, odkąd tylko pamiętał. Mówił, że gdyby wyszedł z za krat, to znów by kogoś zabił.

Zapytałem go, czy wie, że pójdzie do piekła. Odpowiedział, że tak. Że będzie tam już za piętnaście minut.

Nie wiem, co o tym sądzić. Naprawdę nie wiem. I chyba tego właśnie zawsze obawiałem się najbardziej: że będę musiał zmierzyć się z czymś, czego nie rozumiem.



Słońce wisało wysoko na niebie. Zalewało okolicę blaskiem i żarem.

Koń rewolwerowca włókł się po pustyni noga za nogą. Kopyta grzęzły w drobnych kamieniach i piachu, brązowa sierść lśniła od potu, podobnie jak i twarz rewolwerowca ukryta w cieniu filcowego kapelusza. Konia i jeźdźca pokrywał kurz.

Miasteczko rewolwerowiec ujrzał, gdy zjeżdżali z pagórka. Liche budynki, jedna główna ulica. Marna miejscina.

Wcześniej mijali pola i farmy położone blisko źródeł wody, jednak samo miasto leżało na środku pustyni, pra-

żonej słonecznym żarem krainy śmierci. Rewolwerowiec zatrzymał konia, przyglądał się dłuższą chwilę mieście nie z wysokości siodła.

Nic. Żadnego ruchu. Miasto zdawało się opuszczone, ale niedawno – przed dwoma, trzema dniami, gwałtownie i w pośpiechu. Budynki nie rozsypywały się, nie pokrywał ich brąz kurzu. Do uszu rewolwerowca dochodził szum wiatru, syczenie przesypującego się piasku, trzask i zgrzyt okiennic. Spiał wierzchowca i zjechał ze wzgórza.

Meksykanie dojrzeli samotnego jeźdźcę z okien opuszczonego saloonu. Widzieli, jak wjeżdża od wschodu, powoli przemierza główną ulicę miasta. Długi, brązowy płaszcz pokryty był pyłem, podobnie jak filcowy kapelusz z szerokim rondem. Jego koń był zmęczony – tam, gdzie do sierści nie przylepił się kurz, lśnił śliski pot. Nie widzieli, jak mężczyzna był uzbrojony. W blasku słońca błysnął im tylko pas z nabojami przecinający skosem jego pierś.

Jeździec spoglądał w ciemne oczodoły okien, wypatrując choć jednej żywej duszy. Nie dostrzegł nikogo. Po tem opuszczał głowę i przyglądał się śladom na ulicy, świeżo pokrytym piaskiem. Musiał się domyślać, że ludzie opuścili miasteczko niedawno i w pośpiechu. Zsiadł z konia. Zachrząściły ostrogi jego butów.

Wtedy Meksykanie wyszli z saloonu.

– *Hola!* – zakrzyknęli do mężczyzny. – *¿Qué te pasa, amigo?*

Popatrzył na nich.

Było ich trzech. Wyszli właśnie z opuszczonego saloonu. Jeden był chudy jak tyczka, drugi – bardzo podobny do niego z twarzy, więc być może brat albo kuzyn – był

z kolei tłusty jak knur. Trzeci, najwyższy, szedł wyprostowany, pewny siebie. Chrzęściły ostrogi butów, lśniła broń u pasa. Rewolwerowiec ujrzał ich konie uwiązane kawałek dalej, przy innym budynku. A więc szabrownicy, uznał.

– *Hola!* – odparł. Jego głos był surowy jak pustynia. – Co tu się stało? – zapytał już po angielsku.

Meksykanie popatrzyli na siebie. Odpowiedział ten najwyższy:

– *Gringos...* wyprowadzili się.

Uśmiechnął się szeroko. Jego zęby były żółte i zepsute.

Rewolwerowiec pokiwał głową. Rozejrzał się raz jeszcze.

Przyglądali się jego twarzy – zmęczonej, ogorzałej, wysuszonej jak piach. Pokrywał ją twardy, ostry zarost niczym miotły pustynnych traw. Starali się dojrzeć jego spojrzenie. Bezskutecznie. Oczy skrywał cień kapelusza.

– Popilnujecie mi konia? – zapytał z głupia frant. – Rozejrzę się...

– Ale po co? – zakrzyknął najwyższy Meksykanin, wskazując na skrzynkę stojącą na werandzie saloonu. – Może lepiej się napijmy? Mamy dobrą whisky, bourbon... Zostawili jeszcze trochę... Na pustyni sucho. Dlaczego nie zwilżyć gardła?

Rewolwerowiec ignorował go. Uwiązywał konia pod saloonem, ciągle się rozglądając.

Meksykanie popatrzyli po sobie, gdy przybysz przeszedł na drugą stronę ulicy i zniknął w jednym z pustych budynków, a potem pojawił się znów, obszedł ulicę, zajrzał do kilku okien. Szczękały ostrogi, płaszcz co rusz trzepotał przy silniejszych podmuchach wiatru.

Wysoki Meksykanin skinął na towarzyszy, ci weszli do saloonu, a po chwili znów z niego wyszli. Gdy rewolwerowiec wrócił z krótkiego obchodu, stali we trzech przy jego koniu. Uzbrojeni.

Patrzyli na niego.

Zatrzymał się.

– Co tu się stało? – zapytał ich jeszcze raz.

Najwyższy Meksykanin pokręcił głową. Zbliżył dłoń do rękojeści rewolweru.

– Obawiam się, że nie możesz stąd odjechać.

– Co tu się stało? – ponowił pytanie rewolwerowiec.

Dwaj pozostali powoli odchodzili na boki, krok za krokiem. Grubas już trzymał w dłoniach rewolwer, celował w przybysza. Długa lufa drżała. Chudzielec położył dłoń na rękojeści swojej broni, ścisnął ją.

Dzieliło ich może dziesięć, dwanaście kroków. Słońce stało wysoko. Zawiał wiatr, wzniecając niewielki obłok piasku.

Pierwszy zareagował chudzielec.

Sięgnął po broń, wyszarpnął ją nerwowo z kabury, odciągnął kurek i wystrzelił. Huk poniósł się po ulicy, wiatr wzbijał siwą chmurę dymu z lufy. Rewolwerowiec gwałtownym ruchem w tym samym momencie odsunął płaszcz. Zatrzepotał materiał, załśniła stal w ręku. Huk. Wysocki Meksykanin nawet nie zdążył wyciągnąć rewolweru – kula rozłupała mu czoło pod kapeluszem; z tyłu czaszki, ku wejściu saloonu, trysnęła fontanna mózgu i krwi.

Druga kula poszła w grubasa – duży cel. Ugodziła go w pierś. Trysnął szkarłat i mężczyzna z jękiem zwałił się na tyłek. Trzecia kula poszła w chudego. Trzasnęła go w mostek, obaliła. Huk wystrzałów poniósł się

jeszcze echem po ulicy, po czym zniknął gdzieś, zabrany przez wiatr.

Grubas jęczał, próbował odczołgać się, opierając na łokciach. Plama krwi rosła na materiale koszuli. Piach lepił się do potu i krwi. Rewolwerowiec podszedł, stanął nad nim, wycelował. Strzał!

Kula weszła pod lewą piersią. Meksykanin zawył, powietrze wypełniła szkarłatna mgła, jednak kula nie przebiła się dość głęboko przez sadło.

Mężczyzna, jęcząc i płacząc, obrócił się na brzuch, odczołgiwał się desperacko w kurzu od rewolwerowca, zostawiając na piachu krwawy ślad – śledził go chrzest ostróg.

Kolejny strzał. Kula trzasnęła w plecy, Meksykanin wył, płakał i czołgał się dalej. Rewolwerowiec odciągnął kurek broni ostatni raz. Przystawił gorącą, parzącą lufę do spoconego karku szabrownika... i wystrzelił.

Mężczyzna nie odczołgał się już dalej.

Jakaś okiennica trzasnęła raz i drugi.

Konie Meksykanów spieniły się ze strachu, jednak koń rewolwerowca stał leniwie i spokojnie.

Mężczyzna odsunął swój płaszcz, spojrzał w dziurkę po kuli w materiale, potem podszedł do skrzyni na werandzie, którą mu pokazywali. Otworzył wieko, podważając je dymiącą lufą rewolweru. Była istotnie wypełniona butelkami – niestety potłuczonymi. Brązowy płyn wsiąkał w drewno.

Potem rewolwerowiec obszedł mieścinę. Szaber musiał trwać już kolejny dzień – miasto ogołocono ze wszystkiego. Przyglądał się budynkom, jednak nie dostrzegł śladów walk, strzelaniny. Tak jakby mieszkańcy dobro-

wolnie postanowili opuścić bezpieczeństwo domostw i udać się w zabójczą wędrówkę po pustyni.

Odnalazł wreszcie wyraźne ślady. Wiele, wiele śladów – męskiego obuwia i kobiecych trzewików, stóp dzieci i końskich kopyt. Wszystkie prowadziły na południe. Ruszył ich tropem.



Prowadziły w głąb pustyni – pomiędzy skały i pył, i ostre kamienie. Teren tutaj był coraz bardziej nierówny, gdzieś niedługo porośnięty ciernistymi krzewami i kaktusami. Z czasem na brzegach rzeki wśród śladów zaczęły się pojawiać rzeczy należące do ludzi, którzy tędy przechodzili – porzucone i otwarte walizki i ubrania, materiały. Lalki. Rewolwerowiec jechał dalej, w głąb tej przeklętej krainy, a ślady stawały się coraz bardziej wyraźne, mniej zamazane przez piach.

W oddali na niebie dostrzegł kołujące czarne kształty. Kruki. Tam ruszył.

W końcu odnalazł mieszkańców. Dolina była na tyle głęboka, że pomieściła wszystkich. Nie ruszali się już, podziurawieni, poszatkowani pociskami z gatlinga, tak jak stali, tak jak wchodzili do doliny.

Leżeli wszyscy, pośród nich kroczyły sępy, kruki na niebie czekały na swoją kolej. Wszyscy: mężczyźni, starcy, kobiety i dzieci.



*You can run on for a long time
Run on for a long time
Run on for a long time
Sooner or later God'll cut you down
Sooner or later God'll cut you down*

*Go tell that long tongue liar
Go and tell that midnight rider
Tell the rambler, the gambler, the back biter
Tell 'em that God's gonna cut 'em down
Tell 'em that God's gonna cut 'em down*

*Well my goodness gracious let me tell you the news
My head's been wet with the midnight dew
I've been down on bended knee talkin' to the man from Galilee
He spoke to me in the voice so sweet
I thought I heard the shuffle of the angel's feet
He called my name and my heart stood still
When he said, "John go do My will!"*

*Go tell that long tongue liar
Go and tell that midnight rider
Tell the rambler, the gambler, the back biter
Tell 'em that God's gonna cut 'em down
Tell 'em that God's gonna cut 'em down*





*You can run on for a long time
Run on for a long time
Run on for a long time
Sooner or later God'll cut you down
Sooner or later God'll cut you down*

*Well you may throw your rock and hide your hand
Workin' in the dark against your fellow man
But as sure as God made black and white
What's done in the dark will be brought to the light*

*You can run on for a long time
Run on for a long time
Run on for a long time
Sooner or later God'll cut you down
Sooner or later God'll cut you down*

*Go tell that long tongue liar
Go and tell that midnight rider
Tell the rambler, the gambler, the back biter
Tell 'em that God's gonna cut you down
Tell 'em that God's gonna cut you down
Tell 'em that God's gonna cut you down*

Johnny Cash, „God's Gonna Cut You Down”



WILLIAMS



ELIZABETH

ROZDZIAŁ I



POLOWANIE * AQUA * FARMA * TO BEZ SENSU *
STRUMIEŃ W CIEMNOŚCI



Równina rozciągała się na wiele kilometrów. Wiatr delikatnie poruszał suchymi, żółtymi miotłami traw, tak że zdawało jej się, że ma przed sobą nieskończony ocean żółci i złota. Wiało od zachodu. Na niebie płynęły chmury, to tłumiąc, to odsłaniając słoneczne promienie. Mozaika światła i cienia przesuwiała się po ziemi.

Leżała na niewielkim pagórku. Karabin oparła o skórzaną torbę, policzek przytuliła do twardej drewnianej kolby, lewe oko przymknięte, prawe skupione na tym, co obserwowała przez lunetę, równie długą, jak lufa broni. Włosy – długie, kręcone, w mocnej barwie miedzi – związała z tyłu głowy, by nie drażniły twarzy. Na głowie miała kapelusz. Gdy wiatr przegna chmury, będzie jej jedyną ochroną przed piekielnym niebiańskim żarem.

Obserwowała stado antylop – samice z młodymi, samców ledwie kilku. Kręciły się po prerii, szukały wody albo pożywienia. Ujęła jedną z samic – dużą, dorodną, dwudziestofuntową tak na oko – w czarny krzyż lunety. Przyjrzała się falującej wokół stada trawie. Wiatr wciąż od zachodu. Będzie trzeba wziąć poprawkę przy strzale. Przesunęła krzyż celownika lekko w lewo od samicy. I lekko do góry; z tej odległości pocisk będzie szedł po łuku.

Zwierzę nie ruszało się z miejsca. Tylko się rozglądało. Czekало.

Flynn wstrzymała oddech. Pociągnęła za spust.

Karabin Remingtona szarpnął, po równinie rozszedł się huk. Pocisk 12,17 × 42 milimetra poszedł po takiej trajektorii, jak przewidywała. Nie spodziewała się jednak tego, że antylopa w ostatniej chwili się obróci. Pocisk trafił w zad; zwierzę przysiadło lekko, ale nie padło. Kula wytraciła za dużo mocy w locie. Stado w panice zerwało się do biegu. Niedoszła zdobycz Flynn, kuśtykając, uciekła wraz z pozostałymi.

Dziewczyna zaklęła i wstała. Szarpnęła zamek; wypalona łuska opuściła komorę z cichym klang! i upadła w piasek. Flynn schyliła się po nią, wsadziła do kieszeni skórzanej kurtki. Zabrała torbę, karabin przewiesiła przez ramię, poczęła schodzić ze wzgórza. Antylopa oberwała. Pójdzie tropem stada – jest szansa, że zwierzę osłabnie, wykrwawi się i padnie po drodze.

Odkorkowała manierkę z wodą i upiła łyk; w środku zostało bardzo niewiele płynu. Wiatr wreszcie przegnał chmury. Słońce wisiało wysoko na niebie, toteż Flynn nasunęła kapelusz głębiej na oczy. Teraz dopiero zacznie się skwar.

Dojrzała na ziemi, wśród sterczącej trawy, wyróżniającą się, świeżą plamę szkarłatu i inne ślady – kopyta, mocno odcisnięte. Ruszyła, śledząc ten trop. Zwierzęta już zniknęły na horyzoncie, ale nie mogły poruszać się o wiele szybciej niż ona. Powietrze w oddali falowało od gorąca, tworząc wodną fatamorganę. Żar lał się z nieba niczym deszcz.

Po pół mili trop poszedł na wschód. Stado musiało skręcić, i to gwałtownie, jakby coś je spłoszyło. Może zagubiony kojot. Może wataha szakali. Może to był jednak zły pomysł.

Zdjęła karabin z ramienia, załadowała kolejny pocisk, przycupnęła w trawie. Przystawiła broń do ramienia, jakby składając się do strzału. Zlustrowała okolicę. Nie widziała ani stada, ani potencjalnego niebezpieczeństwa. Preria dalej coraz bardziej zamieniała się w pustynię. Co mogło spłoszyć antylopy? Wytężyła wzrok. Dojrzała wreszcie coś w oddali. Konia. Leżącego konia.

Ruszyła tam.

Potem dojrzała inne konie. Szła powoli, co jakiś czas zatrzymywała się, unosiła karabin jak do strzału i patrzyła przez lunetę. Było pięć koni, pięć końskich trupów. Leżały chaotycznie wokół resztek ogniska. Widziała ludzi, również leżących, poskręcanych jak szmaciane lalki. Jeden, dwóch, trzech, pięciu. Pomiędzy ludźmi i zwierzętami wałyły się jakieś graty, przez okrągłe szkło lunety nie widziała, co dokładnie. Odczekała dłuższą chwilę, obserwując, czy ktoś się jednak nie porusza. Potem bardzo ostrożnie ruszyła w tamtym kierunku.

Ludzie byli równie martwi jak konie. Dwóch białych, dwóch Meksykanów i czarny. Dojrzała jeszcze trupa psa –

groźnego, bojowego. Pod skórą zwierzaka rysowały się twarde mięśnie. Leżał na piachu z wywalonym językiem, jego bok był poszarpany i zakrwawiony. Ubrania mężczyzn płamiła świeża krew. Flynn dostrzegała okrągłe wlotowe rany od postrzałów i duże, poszarpane rany tam, gdzie pociski opuszczały ciało. Byli uzbrojeni, ale ogołociono ich z broni tak, jak ogołociono ich z dobytku – wody, toreb, jedzenia. Na udach i pod pachami – puste kabury. Ktokolwiek był sprawcą, zrobił to niedawno, przed kilkom godzinami. Nie widziała jednak śladów kopyt, jakby to duchy zamordowały nieszczęśników.

Coś zaszeleściło za nią. Obróciła się gwałtownie, wycelowała. To jeden z mężczyzn. Żył jeszcze. Meksykanin. Obrócił się z brzucha na plecy, otworzył oczy, patrzył na nią. Jego usta były popękane, prawy bok, blisko pachy, płamił szkarłat. Oddychał ciężko. Opuściła broń. Zobaczyła coś w jego dłoni – ścisnął mały, lśniący stalą czterolufowy pistolecik Derringera.

Przykucnęła przy mężczyźnie i delikatnie, acz stanowczo wyciągnęła derringera z jego dłoni. Dwie z czterech luf były wypalone, pozostałe jeszcze załadowane. Meksykanin patrzył na nią otępiąłym wzrokiem.

– *Aqua...* – poprosił. – *Aqua...*

Schowała pistolet do kurtki.

– Nie mam dla ciebie wody – skłamała. Nie chciała zostawać w tym miejscu dłużej, niż musiała... i potrzebowała wody na powrót. Rozejrzała się jeszcze. – Kto tu był? Kto wam to zrobił? – zapytała.

Mężczyzna chciał pokręcić głową. Poruszył spieczonymi, popękkanymi ustami.

– *Aqua...* – poprosił raz jeszcze.

Flynn wstała.

– Nie mam dla ciebie żadnej *aqua*.

Rozglądała się dłuższą chwilę po martwej krainie wokół. Odwróciła się i cofnęła po własnych śladach.

Dotarła wreszcie do wodopoju, gdzie zostawiła konia. Odwiązała zwierzę i wróciła na farmę. Gdy dotarła do domu, niebo było już ciemne.



Farma składała się z domu, stodoły i kilkuhektarowego pola. Pola nie uprawiała – ojciec się tym zajmował, gdy żył, a jej nikt nie uczył uprawy. Teraz już ojca nie było, a Flynn nie umiała się zajmować gospodarstwem. Sprzedała więc świnię rzeźnikowi w Elizabeth. Miasto było oddalone od jej farmy raptem o kilka mil – krótka podróż konno i wracała ze wszystkim, co było potrzebne. Ojciec planował co rychlej wydać ją za męża, by rodziła i niańczyła dzieci jakiemuś kupcowi z miasta, bankierowi albo synowi innego farmera. Matka nigdy nie zajmowała się pracą na roli – to robił ojciec i czasami ktoś jeszcze pomagał, jakiś młody chłopak albo najęty do pomocy parobek.

Będzie musiała sprzedać i farmę, i ziemię. Matka nie żyje, ojciec teraz też. Miesiące mijają, w końcu zacznie się zima. Skończą się pieniądze, a zwierzyna zniknie, i wtedy będzie miała kłopoty. Dom też się rozsypuje, stare drewno, stare gwoździe...

Wybiorę sobie kogoś i wydam się za męża, tak zrobię, myślała.

Napoiła i nakarmiła konia, po czym zamknęła go w stodole. W domu rozebrała się, napaliła w piecu,

nagotowała wody i nalała do balii. Wykąpała się, a potem zjadła sama.

Rozpakowała torbę i rozładowała karabin. Wyczyści go już jutro. Sięgnęła jeszcze do kurtki i wyciągnęła zdobyycznego derringera. Rozładowała pistolet. Pociski stuknęły o blat stołu. To dość droga broń w tych okolicach. I dobrze utrzymana. Nie wyglądała na należącą do kogoś, kto miesiącami tłucze się po pustyni.

Siedziała przy stole i dłuższą chwilę wpatrywała się w pistolecik.

Pokręciła głową, westchnęła.

Nalała do manierki wody ze studni. Z szuflady w sypialni wzięła rewolwer, długi i ciężki, błyszczący metalicznym, wypolerowanym srebrem Smith & Wesson model 3. Załadowała pełen bęben. Sięgnęła po strzelbę – starą dwururkę taty. Złamała ją i załadowała obie komory, naciągnęła kurki, przewiesiła broń przez ramię. Wreszcie załadowała na powrót derringera i schowała go do kieszeni.

Obudziła konia i zabrała go ze stodoły. Wsiadła i ruszyła w ciemność. Noc była bardzo zimna, gwiazdy nie świeciły, zasłonięte przez gęsty całun chmur. Jechała powoli. Woda chlupotała w manierce.



Różnica temperatur pomiędzy dniem a nocą na pustyni była ogromna. Gdy słońce zachodziło raptem kilka godzin wcześniej, Flynn ledwo trzymała się w siodle z piekielnego upału. Teraz gdy pośród ciemności wracała na miejsce masakry, zimno cięło aż do kości. Owinęła

się grubym pledem i jechała powoli, skulona, pochyłona, dłońmi kurczowo ściskając wodze i chłodne drewno strzelby.

Opuściła trawiaste równiny, gdzie polowała wcześniej, i wjechała w obszar piasku i kamieni – w martwą ziemię przekłętą przez Boga i pogodę. Wstrzymała konia, jechała teraz wolniej. Dobrze знаła ten teren; wydawał się płaski, przetykany tu i tam dużymi, ostrymi blokami skał, był jednak zdradliwy. To nie wielkie, ostre kamienie stanowiły zagrożenie dla wędrowca, lecz obszar pomiędzy nimi – wysypany wieloma mniejszymi, niezauważalnymi na pierwszy rzut oka kamyczkami. To właśnie o nie pieszy mógł poprzebijać sobie podeszwy nawet najlepszych traperskich butów, a koń, gdy jechał za szybko i prowadzony był lekkomyślnie – poranić pięciny, połamać nogi, a potem zdechnąć z dala od wodopoju, trawiony żarem dnia i zimnem nocy.

Wreszcie ujrzała cel wędrowki.

Leżeli tak, jak ich zostawiła. Pięć ciał, konie i pies. W ciemnościach zwłoki wyglądały jak śpiące larwy gigantycznych much – blade i obłe. Zeskoczyła z konia, uwiązała go do sterczącego nieopodal krzaka. Od trupów dzieliło ją może ze sto kroków. Wołała podejść niepostrzeżenie. A jeśli przy zwłokach krążą szakale, koń będzie dla nich zbyt dobrym celem.

Szła najpierw pochyłona, czujna. Potem, gdy pustynia okazała się nie bardziej groźna niż zazwyczaj, ruszyła szybciej. Spodziewała się szakali lub kojotów przy trupach. Nie było tam jednak żadnych zwierząt.

Zbliżyła się do Meksykanina, który prosił ją o wodę. Wzięła w dłonie manierkę, dotknęła go. Była tu przed

trzema, czterema godzinami. Rana na jego boku nie wyglądała groźnie.

Meksykanin miał otwarte oczy i usta. Język, czerwony, obły, oblepiony czymś – gęstą, białą mazią – wylewał się spomiędzy warg. Dotknęła delikatnie ramienia mężczyzny, popatrzyła na jego klatkę piersiową. Nie poruszała się. Nie żył.

Flynn nabrała powietrza. Obróciła się i spojrzała na miejsce, gdzie zostawiła konia. Zwierzę stało tam, spokojne.

Odkorkowała manierkę, jeszcze raz pochyliła się nad Meksykaninem. Nalała trochę wody do jego nieruchomych ust. Płyn utrzymał się chwilę w jamie pomiędzy wargami, po czym spłynął po policzkach, ochrzcił pustynny piasek. Zakorkowała manierkę. Wstała. Jeszcze raz się obróciła.

Dwie postacie obok jej konia. Jeźdźcy. Widziała kapelusze, płaszcze. Czarne sylwetki na rumakach ulepionych z ciemności, potężniejszych niż jej koń, mocarnych. Zamarła.

Huk. Bolesny kwik zwierzęcia niosący się wraz z echem wystrzału w pustynną noc. Jej rumak zachwiał się, przyklęknął, wreszcie padł w piasek. Jeźdźcy w milczeniu spięli swoje wierzchowce, ruszyli w jej stronę. Powoli.

Jej drżące palce namacały strzelbę. Chciała nawet unieść ją do strzału, wycelować, wypalić z obu luf. To bez sensu. Chmura śrucin z tej odległości nawet by ich nie drasnęła. Uciekać, Chryste, słodki Jezu, muszę uciekać!

Zerwała się do biegu w chwili, gdy padł kolejny strzał. Kula świsnęła blisko niej, trafiła w ziemię, wznecając fontannę piasku.

Biegła.

Słyszała ich okrzyki, lecz nie krzyczeli do niej, tylko do siebie. Nie wiedziała co, nie rozumiała, biegła.

Porzuciła ciężką manierkę. Biegła co sił w nogach, szybko, ale ostrożnie, by nie skręcić sobie kostki na którejś ze zdradliwych skał, nie poranić stóp. A oni? Znali tę okolicę? Nie znali? Wiedzieli, dokąd ucieka im zwierzyzna?

Biegła, biegła. Obracała głowę, by zobaczyć, czy zniknęli, czy wchłonęła ich pustynia, czy to sen. Byli tam. Cieśło z Nazaretu, byli tam! I to nawet bliżej niż poprzednio. Oni mają konie, ja swoje nogi – na co ja liczę? Biegła.

Mężczyźni. W płaszczach, kapeluszach, zakurzeni, twarze zasłaniały chusty, a może wysokie kołnierze. Demony z piekła. Strzał. I kolejny. Chybili. Walili z rewolwerów, w ruchu, w locie. I już powoli zdawali sobie sprawę z tego, gdzie wjechali, trochę wstrzymali konie, nie chcieli, by dobre rumaki połamały kulasy. Może zwolnią, może zawrócą, może ucieknę? Strzał.

Gdzieś w oddali po chmurnym całunie nieba poniosł się grom.

Traci oddech, nogi bolą, mięśnie palą. Nie wytrzymam, nie wytrzymam. Może przystanę, może się poddam?

Odwróciła się. Byli tak blisko. Błysk z dłoni jednego z nich, strzał. Kula świsnęła tuż przy jej uchu.

Ale, Boże, jestem już blisko! Wiem, dokąd biegnę, a oni nie. Mam was, mam was, skurwiesyny!

Rzeka, jest! Deszczowy czas, strumień pojawiający się raz na rok. Już go słyszeć. Wodna rana, szrama na pustyni. Tam, tam ich zgubi!

Słyszysz ją, a teraz widzi, jak porusza się, jak płynie.
Biegnie, biegnie.

Flynn chciała już skoczyć w nurt, zanurzyć się, zagłębić w zbawczej toni. Nie uczyniła tego. Strumień był za wąski. Za płytki. Gdy wbiegła do wody, zobaczyła, poczuła, że nurt sięga jej ledwie do kolan.

Strzał.

Kula wbiła się w nogę. W prawe udo. Uderzenie jak młotem kowalskim. Flynn pada w strumień, wokół krwawa mgiełka, a potem do mózgu dociera ból, ból niemiłosierny.

Jest cała mokra, a wodę wokół niej szkarłatem zabarwia krew. Widzi swoich oprawców, jak podjeżdżają do niej śmieiej, rewolwery unoszą triumfalnie, wysoko. Dymiące.

Mężczyźni gadali coś do siebie. Flynn chciała sięgnąć po strzelbę, ale nie miała strzelby – zgubiła ją gdzieś. Chciała wyjąć rewolwer, ale leżał w strumieniu, proch zamoczony. A oni nad nią, coraz bliżej. Widziała ich sylwetki jak przez mgłę.

Umrzeć, szybko umrzeć, wykrwawić się, nim ją dopadną.

Strzał.

Huk niczym grom niosący się po pustyni, przebijający ich śmiech i szmer strumienia.

Niewidzialna siła zmiotła jednego z mężczyzn z siodła, zleciał w piach, krwawiąc i charcząc. Drugi ujrzał coś, utworzył szeroko oczy, wycelował.

Huk, huk!

Pada i koń, i jeździec.

Cisza.

Tylko echo gromu się gdzieś niosło, i szmer strumienia.

Flynn nie ma już sił, zamyka oczy. Ale jeszcze zdążyła go dostrzec. Jak stanął nad nią, jak przewiesił przez ramię karabin dymiący, powtarzalnego winchestera. Jak unosi ją silnymi dłońmi. Jak ją stąd zabiera.

Zamyka oczy i potem nie widzi już więcej, nic.

**Kliknij i przejdź do sklepu,
by kupić książkę**



swiatksiazki.pl



**polub nas
na Facebooku**

Poprzednie serie
Arkadego Saulskiego:

Droga Samotnego Psa



Zapiski stali



ELDORADO

ARKADY SAULSKI

TAM, GDZIE ŚMIERĆ SPŁATA LOSY NA SPALONEJ ZIEMI.



Dla samotnego rewolwerowca pustynia zawsze była bezlitosna, ale przewidywalna. Teraz, pożegnawszy przeszłość, rusza przez spaloną słońcem ziemię, nieświadomy, że wkrótce stanie oko w oko z innym niż dotychczas obliczem śmierci – niehumanicznym i pozbawionym sensu.

Daleko od jego drogi, na rozległej prerii, Flynn poluje, by przetrwać. Jej samotność jest wyborem, tarczą przed światem. Jednak los ma inne plany. Kolejne życia nieuchronnie wiedą Flynn ku spotkaniu z rewolwerowcem. Wspólnym mianownikiem ich losów stanie się śmierć – ta, która eliminuje ludzi w ich otoczeniu, i ta, która próbuje wykonać wyrok na nich samych.

Inspirowane surowym pięknem wester-
nów i pulsującą muzyką Johnniego Ca-
sha, „Eldorado” zabierze Cię w podróż po
Dzikim Zachodzie.



 /fabryka

 /fabrykaslow

fabrykaslow.com.pl

ISBN 978-83-8375-163-4



9 788383 751634

49,⁹⁰ zł*

* cena zawiera 5% VAT



fabryka słów®
WYDAWNICTWO

